

# **MORE THAN ETERNITY**

## **(POLA)**

**Maciej Rogala**

*Czerwiec, 2019*

## BOSTON, STOLICA STANU MASSACHUSETTS. ROK 2042

Wiosenne popołudnie. Na pokrytym burzowymi chmurami niebie widniał monumentalny wieżowiec z napisem: „Global & Ethical Investments”. Litera „o” w słowie „global” markowała kulę ziemską.

Siedzibę GEI otaczał niewielki park: skromne trzy hektary, na których kwitło burzliwe życie towarzyskie prowadzone przez najrozmaitsze gatunki drzew iglastych i liściastych. Te ostatnie zdążyły pokryć się liśćmi. Ich soczystą zieleń podkreślała zakończona właśnie ulewa. Park przecinały alejki wiodące w każdym możliwym kierunku. Najszersza prowadziła prosto do głównych drzwi wieżowca. Szło nią kilka osób. Wśród nich wyróżniała się jedna, nie tylko dlatego, że wciąż kryła się pod parasolem.

Był to ubrany w koszulkę polo i bermudy mężczyzna. Długie włosy i gęsta broda upodabniały go do hipisa. Natomiast bystre oczy i zadbany wygląd wskazywały na wyluzowanego intelektualistę. Wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat. Jego bystre i niezwykle przenikliwe spojrzenie, nie współgrało z tak młodym wiekiem; wskazywało na ogromny bagaż doświadczeń.

Pochłonięty myślami mężczyzna wciąż nie opuszczał parasola. Chmury burzowe rozpraszały się niczym uwaga uczniów podstawówki zabranych na wycieczkę do opery. Gdy od wejścia do budynku mężczyznę dzieliło jakieś sto metrów, zaczęło się wyłaniać wiosenne słońce.

Złociste pasma promieni słonecznych zbliżały się od strony zatoki. Chwilę później mknęły po ulicach i budynkach miasta. Gdy dotarły do przeszklonego budynku GEI, ten podwoił ich jasność. Odbite od wieżowca promienie padły na mężczyznę. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że przestało padać - zamknął parasol. Przed wejściem do budynku stał podstarzały portier w niebiesko-zielonym uniformie i żegnał wychodzących oraz witał wchodzących z tym samym przyklejonym uśmiechem.

– Witamy w dzi-i-aj – rozpoczął dobrze wyuczoną formułę. – Życzymy...

Mężczyzna minął portiera, nie zwracając na niego uwagi. Stał pośrodku ogromnego holu. Zaczął się rozglądać.

Wnętrze zaprojektowano używając doskonale skomponowanego kontrastu, który obrazował misję fundacji GEI wyrażoną hasłem: „Pomnażamy bogactwo – Twoje, nasze, natury”. Znalazły tam swoje miejsce zarówno nowoczesna prostota, jak i perfekcyjnie dopracowane detale, a wszystko współgrało ze złożonością natury wkomponowanej w przestrzeń holu. Surowy chłód modernistycznej architektury stykał się z nieprzewidywalną różnorodnością

świata przyrody. Jedno z drugim wcale się nie kłóciło, wręcz przeciwnie – tworzyło harmonijną całość.

Na najbardziej wyeksponowanej ścianie, naprzeciwko głównego wejścia, kłębiła się masa egzotycznych roślin, przypominająca fragment dżungli. Na środku stała fontanna udająca naturalny staw. Nad nią wznosiła się niebiesko-zielona kula symbolizująca planetę Ziemię. Spływała po niej wąska strużka wody.

Kompozycja wnętrza wprawiła mężczyznę w zachwyt. Po chwili skierował się do kontuaru recepcji. Siedział za nim młody recepcjonista ubrany tak jak portier. Wstał na widok dość dziwnie wyglądającego gościa.

– Witamy w dzi-i-aj. Czym mogę panu służyć? – zapytał.

Gość odchrząknął.

– Jestem umówiony... – Zawiesił głos – Z prezesem.

Zaczęły mu się pocić dłonie, więc szybko schował je do kieszeni. Recepcjonista taksował go wzrokiem.

– Z prezesem? – dopytywał dla pewności.

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy. Uśmiechnął się niepewnie i stał tak cierpliwie, czekając do momentu, w którym podejrzliwy recepcjonista podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wybierać numer.

Chwilę później mężczyzna stał w sunącej do góry przeszkolonej windzie. Za nim rozszerzała się panorama Bostonu. Mężczyzna patrzył na licznik pięter nad drzwiami, który pokazywał kolejno numery pięter: 20, 21, 22... Wyciągnął chusteczkę i wytarł spocone dłonie. Licznik wybił ostatni numer – 38. „Ding”. Chwilę później otworzyły się drzwi.

Mężczyzna wyszedł z windy i stanął pośrodku dużego pomieszczenia. Jedną ze ścian w całości zajmowało ogromne akwarium, otoczone gąszczem roślin. Uwagę mężczyzny przyciągnęły ryby pływające za szkłem. Były duże, każda ważyła ponad kilogram. Na pierwszy rzut oka znawca tematu zauważyłby, że zostały wybrane świadomie i konsekwentnie. Wszystkie należały do rodziny łososiowatych, bardzo wrażliwych na zanieczyszczenia wód. Były tam pstrągi, palie jeziorowe i wspaniała para głowacic ważących po ponad dziesięć kilogramów. Stanowiły niewątpliwą ozdobę akwarium, a pochodziły z polskiego Dunajca. Podobnie jak na dole, i tu można było odczuć, że wszystko w pomieszczeniu zostało przemyślane i każdy jego element spełniał jakąś funkcję. Najgorzej miały jednak ryby. Umieszczono je w miejscu, z którego prowadziły drzwi do gabinetu prezesa. Ich zadanie było pozornie proste: budzić podziw i relaksować interesantów. To niewykonalne dla stworzeń,

które są wyjątkowo małowówne i tak nienaturalnie uśmiechnięte. Przekonał się o tym tajemniczy gość, który właśnie wyszedł z windy. Rozluźnił się dopiero na widok podchodzącej do niego korpulentnej szatynki w okularach przesłaniających pół twarzy.

– Miranda – westchnął z ulgą, ale tak, by go nie usłyszała.

Miranda wyglądała na co najmniej dziesięć lat starszą od mężczyzny. Sprawiała wrażenie cieplej i przyjaznej.

– A pan co tu robi? – zapytała z uśmiechem, udając zaskoczenie.

– Dzień dobry... kochanie – odpowiedział jej czule.

Na twarzy Mirandy pojawił się porozumiewawczy uśmiech. Zagościł również na twarzy mężczyzny, gdy ten pocałował ją w policzek.

– Już czeka. Nie denerwuj się – szepnęła mu do ucha.

Odsunęła się od mężczyzny i podeszła do drzwi gabinetu z napisem „David Morus”. Zapukała trzy razy. Odpowiedział jej stłumiony męski głos:

– Proszę.

Miranda otworzyła drzwi do gabinetu. Oczekiwany gość wszedł do środka.

Gabinet okazał się niewielki w porównaniu z rozmiarami budynku fundacji GEI – miał około trzydziestu metrów kwadratowych. Utrzymany był w tym samym klimacie co hol budynku. Mężczyzna zauważył w nim zarówno proste nowoczesne meble, jak i element dzikiej, choć poskromionej już natury – drzewko bonsai. Na ścianie naprzeciwko dużego przeszklenia wisiało kilka zdjęć prezesa GEI. Na jednym z nich łowił ryby, na innych kierował psim zaprzęgiem i trzymał ster pięknego żaglowca.

Prezesem, zapowiadany przed wejściem Davidem Morusem, okazał się szczupły, średniego wzrostu czterdziestopięciolatek. Nie grzeszył urodą, ale wzbudzał zaufanie.

W momencie wejścia mężczyzny gospodarz pochylał się nad drzewkiem bonsai stojącym na biurku. Na nosie miał okulary podobne do pływackich gogli. W prawej ręce trzymał specjalistyczne nożyce, a lewą delikatnie przytrzymywał roślinę.

Szczęknęły zamykane drzwi. David, cały czas pochylając się nad drzewkiem, zwrócił się do oczekiwanego gościa:

– Zapraszam. Proszę wybaczyć... – zawiesił głos z zakłopotaniem. – To jedno z moich hobby.

Mężczyzna podeszedł do biurka i zaczął się przyglądać drzewku z ciekawością.

– Ile ma lat? – zapytał.

– Ponad trzysta – David się ożywił. – Dąb bezszypułkowy. Szczęściarz z niego – westchnął.

Mężczyzna zerknął bystro na Davida, słysząc ostatnie zdanie. Ten zakończył przycinanie. Zdjął gogle i uśmiechnął się szczerze.

– Pan James Gordon? – zapytał uprzejmie, wyciągając rękę.

Gość potwierdził skinieniem głowy, ściskając wyciągniętą dłoń. Odruchowo spróbował schować rękę do kieszeni, ale w ostatniej chwili się opamiętał.

– Napije się pan czegoś? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

Gospodarz uśmiechnął się, chcąc ocieplić atmosferę.

– Ale usiądzie pan? – wskazał na fotel naprzeciwko biurka.

Usiedli niemal jednocześnie. David oparł łokcie na biurku i splótł dłonie.

– Jakim cudem udało się panu umówić to spotkanie? – rozpoczął rozmowę.

– Po znajomości – odpowiedział żartobliwie Gordon.

– No tak – David z uśmiechem wyraził zrozumienie.

– Pozwoli pan, że od razu przejdę do celu wizyty – przerwał jego zadumę Gordon.

– Zamieniam się w słuch – oznajmił uprzejmie David.

Gordon wziął głęboki wdech.

– Chciałbym panu pomóc – wypalił szybko.

– Zawsze myślałem, że to ja pomagam innym – odpowiedział z uśmiechem David.

– Domyślam się. Ale każdy z nas... ma problemy – Gordon poczuł się zbity z tropu.

– I jaki jest... mój problem?

– Przepraszam za szczerość – ciągnął poważnym głosem Gordon. – Wiem o panu prawie wszystko. Od wielu lat śledzę w mediach każdą wzmiankę o pana karierze, życiu rodzinnym, działalności charytatywnej... – zawiesił głos. – A rok temu poznałem Mirandę – zakończył gwałtownie.

– Ach tak... – skonstatował stanowczo David.

Zapadła chwila milczenia, po której David wstał.

– Proszę wybaczyć, ale pana wizyta dobiegła końca – stwierdził chłodno.

Skierował się do drzwi, ale Gordon nawet nie podniósł się z krzesła.

– Mam wezwać... – David zaczął z jeszcze większą stanowczością.

– Słyszał pan o Marcusie Greyu? – Gordon pozostawał nieugięty.

– Biochemiku, który zmarł w ubiegłym roku? – David westchnął zniecierpliwiony.

– On żyje i... – Gordon wstał. – ...i właśnie z panem rozmawia.

David otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, ale się opanował.

– Żegnam pana – oznajmił z wcześniejszą stanowczością.

– Proszę dać mi pięć minut – zaczął nalegać Gordon, który okazał się Marcusem Greyem. – Proszę! Pięć minut, na które czekałem od wielu lat – błagał, coraz bardziej rozemocjonowany.

David patrzył wnikliwie na swojego gościa. Jego twarz stała się śmiertelnie poważna. Po chwili wrócił za biurko. Marcus, załóżmy, że uwierzyliśmy w nową tożsamość mężczyzny, ponownie usiadł i szukał słów. David zaczął:

– Twierdzi pan, że może rozwiązać mój największy problem, jakim jest...

– ...nasze przemijanie – dopowiedział Marcus z nowym spokojem i opanowaniem. – Pana, moje, naszych najbliższych.

David zerknął za okno. Udawał znużonego.

– I dlatego wygląda pan na trzydzieści lat? – rzucił od niechcenia.

– Mając siedemdziesiąt trzy – odpowiedział zaczepnie Marcus. – Nie wierzy pan? – dodał w tym samym tonie.

David odwrócił wzrok od okna i zaczął się wpatrywać w Marcusa.

– Racja – mitygował się Marcus. – Załóżmy jednak, że mi pan wierzy. – mężczyzna nie tracił nadziei.

– Załóżmy – David dał się wciągnąć w takie negocjacje. – Chce mi pan „to” sprzedać za niebotyczną cenę?

– Nic z tych rzeczy! – obruszył się Marcus. – Posiadam kapitał na dziesięć żyć takich jak moje poprzednie. Pana majątek, wpływy, możliwości, a przede wszystkim efektywność są niezbędne dla przyszłego, nowego świata.

– Wielkich słów pan używa – podejrzliwy David stopował gościa. – Ja i pan, zapewne z wąską grupą wybrańców, mielibyśmy zbudować ten, jak pan to ujął, nowy lepszy świat? – dopytywał nie bez ironii.

– Świat na miarę mego odkrycia – Marcus nie schodził z poważnego tonu.

– To znaczy?

– Jego efekty ma pan przed sobą – oznajmił z dumą Marcus. – Jestem trzydziestoletnim facetem nie tylko z wyglądu. Jestem nim w środku, w każdym organie, w każdej komórce ciała. I pozostanę taki przez najbliższe sto, tysiąc, a nawet... sto tysięcy lat.

Ostatnie „sto tysięcy lat” zrobiło na Davidzie wrażenie.

Zapadła długa cisza. David mimo woli zaczął sobie wyobrażać, co by było, gdyby... Gdyby to, o czym mówi Marcus, stało się już od jutra jego rzeczywistością.

Wreszcie zdobył się na pytanie:

– Chce mi pan powiedzieć, że jest nieśmiertelny?

– Nie, nie – Marcus wyraźnie się ożywił. – Gdyby wyciągnął pan teraz pistolet i strzelił mi... prosto w serce, moje życie by się zakończyło, jak każdego śmiertelnika. Jestem jedynie przystojniakiem, który już nigdy się nie zestarzeje – Marcus wziął głęboki wdech: – Starość to choroba, taka jak każda inna. Do niedawna była, i oficjalnie nadal jest, nieuleczalna.

– A pan wynalazł antidotum?

Marcus, coraz spokojniejszy i coraz bardziej pewny siebie, kiwnął potakująco głową.

– Nowy, sklonowany gatunek moreli zawiera gen stworzonego przeze mnie białka – moreliny – rozpoczął wywód. – Hamuje ono proces powolnej autodestrukcji, jaka zaczyna nas powoli zabijać już po trzydziestce. Morelina i kilka innych substancji utrzymują mój organizm w idealnej równowadze hormonalnej – zaczął wyjaśniać Marcus, starając się nie wchodzić w zbyt naukowe szczegóły. – Morelina wzmacnia też układ immunologiczny i żadne bakterie ani wirusy nie mogą...

– Wyręczył pan Boga, tworząc drzewo życia? – przerwał mu David.

– ...przejsć do fazy inwazyjnej – ciągnął Marcus. – Nie myślałem o swoim wynalazku z tej perspektywy – Marcus mógł oddać się wreszcie pasji naukowca. – Kim jest Bóg? Czy w ogóle istnieje? Poza umysłami i marzeniami oportunistów niepotrafiących się pogodzić ze śmiercią, żyjących w taki sposób, popełniających tak straszliwe zbrodnie i niegodziwości, że gdyby nawet... – przystopował. – Gdyby nawet ktoś taki istniał, to i tak nie mieliby szans na życie wieczne.

– Widzę, że przygotował się pan do rozmowy – zauważył z nutką podziwu David.

– Nie przeczę. Ale ja istnieję i... morelina. Dzięki niej potrafię urzeczywistnić marzenie każdego śmiertelnika – oznajmił z dumą Marcus.

– Uśmiercił pan Boga?! – David z nutką ironii kontynuował wątek eschatologiczny.

– Jestem ateistą. Dla mnie ten gość nigdy się nie narodził.

– Jak dla każdego ateisty, dopóki śmierć nie zajrzy mu w oczy – podsumował ironicznie David, po czym zmienił temat: – Ile osób usłyszało tę wspaniałą nowinę?

– Pan jest pierwszy. Chociaż... Przepraszam. Przed panem była Miranda.

– Skąd ten zaszczyt? – spytał z zaciekawieniem David.

– Projektem może pokierować tylko ktoś tak twórczy jak pan – oznajmił Marcus pochlebco.

– Poza tym jest pan człowiekiem prawym.

– Zaraz się rozplnę – zażartował David.

– Nie zaryzykowałbym naszej rozmowy, gdybym nie miał takiej pewności. Mógłby pan zniszczyć całe przedsięwzięcie.

– Pan żartuje! – David udał zdziwionego. – Sam pan stwierdził, że chociaż osiągnąłem ogromny sukces, mam do stracenia więcej od innych. Przed chwilą się dowiedziałem, że ostatnia przeszkoda do pełni szczęścia może zostać usunięta. Byłbym głupcem, odrzucając pana propozycję.

– Chyba nie do końca jest pan szczery – Marcus wyczuł prawdziwe intencje Davida. – Nie oferuję panu leku na chorobę starości. Wieczna młodość nie ma sensu w świecie takim, jaki istnieje teraz. Ostatnie dziesięć lat to mój powrót do upragnionej młodości i...

– ... nie jest pan wcale tak szczęśliwy – wszedł mu w słowo David.

Marcus przytaknął i kontynuował swoją opowieść:

– Moje pierwsze odkrycie, sprzed piętnastu lat, zwiększające produktywność zbóż, przyniosło mi nie tylko sławę. Kupiłem wyspę na Karaibach. W tamtym czasie dokonałem też innego odkrycia, które zachowałem dla siebie. Stworzyłem małe laboratorium. Żyłem z dala od cywilizacji. Robiłem wszystko, aby świat o mnie zapomniał. Po pięciu latach prac, testów na owadach, a później na ssakach osiągnąłem cel. W wieku sześćdziesięciu trzech lat rozpocząłem test na sobie, który, jak pan widzi, zakończył się wielkim sukcesem – przy ostatnim zdaniu Marcus uśmiechnął się szeroko, rozkładając ręce w triumfalnym geście.

– Jeśli to prawda, to rzeczywiście wielkim – potwierdził David.

Marcus ciągnął dalej:

– Musiał pozostać tajemnicą. Rok temu postanowiłem umrzeć dla świata. Teraz żyję jako James Gordon. Bez przyjaciół, bez rodziny. Gdyby nie Miranda! – Marcus westchnął. – Zapewniam pana, że to żadne życie. I nigdy bym nie złożył tak kiepskiej propozycji.

David skinął delikatnie głową, pokazując, że docenia szczerość słów Marcusa.

– Musiałem działać w ukryciu, bo zdawałem sobie sprawę z tego, że...

– Panie Grey. Czy jest pan profesorem Greyem? Jest pan? – David niespodziewanie przerwał jego wypowiedź.

– DNA Marcusa Greya jest w bazie danych korporacji GenTech. Pobierze pan próbkę mojego DNA i porówna – odpowiedział rzeczowo Marcus. Wyglądało na to, że był przygotowany na to pytanie.

Gość wyjął z kieszeni pendrive'a i wręczył ją Davidowi.

– Założenia projektu. Po przeczytaniu proszę zniszczyć – wyjaśnił.

Chwilę później wstał. David podążył za nim w stronę drzwi.

– Cztery lata temu... Zapewne wie pan, co się wydarzyło? – zagadnął go jeszcze.

– Zacząłem przyjmować morelinę po sześćdziesiątce. Nie pozostało po niej ani śladu – Marcus skinął potakująco i odpowiedział spokojnie.



– Jest więc nadzieja? – dopytywał wyraźnie poruszony David.

– Pewność – poprawił go Marcus, ściskając rękę Davida.

David znów był w gabinecie sam. Miał w głowie zamęt. Podeszedł do okna i zaczął patrzeć nieobecnie na panoramę miasta.

Propozycja Marcusa brzmiała niedorzecznie, a jednak umysł Davida dał się prowadzić jak na smyczy przez nową i zupełnie niespodziewaną nadzieję.

– To przecież niemożliwe! – wykrzyknął do siebie.

– Słucham?...

Zza jego pleców dobiegł głos Mirandy. David odwrócił się. Asystentka stała w progu z pytającym wyrazem twarzy.

– Pukałam – wytłumaczyła się szybko.

– Wybacz, nie słyszałem.

– Dzwonił John Pinkelton. Przesunął dzisiejsze spotkanie na przyszły tydzień.

– Świetnie. Odwołaj wszystkie pozostałe spotkania.

– Tak jest, szefie – odpowiedziała z zadowoleniem w głosie Miranda.

Odwróciła się do drzwi, jednak David postanowił ją zatrzymać.

– Od jak dawna znasz Jamesa Gordona?

– Z Marcusem poznaliśmy się na balu charytatywnym w Nowym Jorku, dokładnie rok temu.

Ty też na nim byłeś.

– To spotkanie nie było przypadkowe.

– Wiem, Marcus powiedział mi o tym kilka dni temu – odpowiedziała Miranda po chwili zastanowienia.

– Wybacz, ale muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie – David wyglądał na zakłopotanego. –  
Wiesz, że jesteś dla mnie jak... jak siostra.

– Słucham?

– Kim jest dla ciebie Gord..., przepraszam, Grey?

– Wszystkim – tym razem Miranda odpowiedziała bez chwili wahania.

Zapadła krępująca cisza. Miranda przerwała ją przyziemnym pytaniem:

– Coś podać?

– Nie, dziękuję – odparł sprawiający wrażenie nieobecnego David.

Miranda wyszła. David opadł na krzesło.

W oczach innych David Morus był człowiekiem czynu. Wizjonerem. Filantropem wszech czasów. We własnych był przede wszystkim maratończykiem. Dla niego liczył się

nieprzerwany bieg. Wysilek, adrenalina, zapomnienie. Brak czasu na melancholię, do której miał skłonność. Właśnie dlatego przez całe życie tworzył, budował i udoskonalał. Pomagał innym. Setkom tysięcy ludzi w najbiedniejszych krajach świata – od Afryki, przez Amerykę Południową, po daleką Azję. Nie był najhojniejszy. Sypnąć obficie groszem na wyjąłowioną wieloletnią biedą afrykańską ziemię potrafi każdy, to żaden wyczyn. Jego sekret tkwił w imponującej skuteczności. Fundacja GEI posiadała udziały w setkach firm działających na całym świecie. Zarządzali nimi najzdolniejsi absolwenci szkół etycznego biznesu założonych przez Davida w Bostonie i Krakowie. Dzięki temu niemal każdy dolar trafiał do ludzi faktycznie potrzebujących pomocy.

„Musi pan odczuwać niewiarygodną satysfakcję” – usłyszał kiedyś od pewnego sikha podczas balu dobroczynnego w Nowym Jorku, tego samego, na którym Miranda poznała Marcusa Greya. Czy rzeczywiście odczuwał satysfakcję? Czy może raczej niekończący się maraton humanitarny stanowił wygodną formę ucieczki przez natrętnymi myślami? Myślami o bezsensie i bezcelowości życia, które prędzej czy później po prostu wygaśnie w uwłaczającym akcie starości.

A dobro ludzkości? Dobro setek tysięcy ludzi, którym pomógł? To niewielka część jego życia, wręcz symboliczna. David – jak każdy – pragnął szczęścia przede wszystkim dla siebie. Liczyli się dla niego najbliżsi. Liczyli się o wiele bardziej niż te setki tysięcy ludzi, którzy traktowali go jak zbawcę świata. Dla nich był filantropem. Ale on chciał być tylko kochającym i kochanym mężem. Kochającym i kochanym ojcem.

Wziął do ręki zdjęcie pięknej żony, które stało na jego biurku. Naszła go myśl o tym, jak uwielbia muskać jej włosy, całować jej szyję, dotykać jej piersi, odczuwać jej wrażliwość na swoje pieszczoty. Pragnąłby tak... przez wieczność.

Davida nie ominął kryzys wieku średniego. To jedna z tych niewielu rzeczy, z którą praktycznie żaden mężczyzna na tej planecie nie potrafi sobie poradzić. A ci, którzy twierdzą inaczej – albo mają już starczą demencję, albo dopiero przygotowują się do matury. Od kilku lat czas w jego głowie płynął coraz szybciej i David coraz częściej zadawał sobie pytanie: „Ile dni szczęścia jeszcze mi zostało?”. Od dwudziestu lat uprawiał z żoną seks niemal codziennie. Jednak coraz bardziej ze strachu przed upływającym czasem, przed nadejściem momentu, który był – a przynajmniej wydawał mu się do dzisiaj – nieuchronny. I przed chwilą spotkał człowieka, który twierdzi, że wszystkie zmory, strachy, lęki mogą tak po prostu zniknąć. Z dnia na dzień.

David ponownie poddał się marzeniu. Niemożliwe, aby nie popadł w błogostan, bo przecież pojawiła się nadzieja, że rozwiąże ostatni problem w tym życiu. Wyobraźnia prowadziła go do

nowej, zupełnie niespodziewanej rzeczywistości, będącej być może na wyciągnięcie ręki. Rosnące emocje zmusiły go do ponownego wstania. Zaczął chodzić po gabinecie, chciał niemal zawołać Greya, kazać mu zawieźć siebie do miejsca, w którym mieszka, aby dał mu morelinę, aby już teraz zażyć eliksiru wiecznej młodości.

Wizja nowej rzeczywistości, w indywidualnym, w rodzinnym wymiarze, została na krótką chwilę zakłócona zupełnie inną wizją mającą wymiar globalny. Wiedział, że zmiany będą musiały być ogromne i wpłyną na życie wszystkich ludzi, ale nie wszystkich w takim samym stopniu. Już padło to słowo: wybrańcy. Jednak David bronił się przed tymi myślami. Nie chciał zakłócać doznawanego szczęścia. Nie teraz. W tej chwili liczyła się zaznana nadzieja.

David odstawił na chwilę zdjęcie żony, by otworzyć barek i nalać sobie szklaneczkę whiskey. Lewą ręką ponownie sięgnął po zdjęcie, w prawej trzymając trunek. Stał przy przeszklonej ścianie. Ponownie zaczął patrzeć na panoramę miasta. Zerknął na zdjęcie, szepcząc do siebie:

– Wiecznie młoda... Wiecznie pożądana... Wiecznie kochana.

WŁOCHY. 20 LAT WCZEŚNIEJ

David otrzymał właśnie dyplom z ekonomii na Harvardzie. Świątował to osiągnięcie z przyjaciółmi na wakacjach w Toskanii. Towarzyszyli mu Laura, jego rówieśniczka – wysoka, szczupła blondynka o bardzo miłej aparycji – i jej chłopak Kris – o trzy lata starszy dwumetrowy przystojniak z kruczoczarnymi włosami i brzuszkiem piwnym.

Wszyscy troje siedzieli w ogródku jednej z pizzerii w Volterze. Jedli pizzę, smakowali wino z okolicznych winnic. David wyglądał na wyraźnie zdołowanego.

– Nie martw się. – Laura próbowała go pocieszać.

– Dzięki za dobrą radę! – odpowiedział jej ironicznie David z wyraźnym naciskiem na „dobrą”. – Po trzech tygodniach spędzonych w Toskanii... nic. Żadna... Dosłownie żadna nie dała się poderwać! – dodał z goryczą w głosie.

Przy stoliku obok siedziały trzy ładne turystki. Kelner przyniósł im rachunek, a one powoli zbierały się do wyjścia. David zerknął na nie bezwiednie, po czym wrócił wzrokiem do Laury i Krisa.

– Ale cóż się dziwić? – kontynuował z rezygnacją w głosie. – Spójrzcie na mnie! – wykrzyknął z gorzkim triumfem.

– No właśnie – przytaknął mu ze śmiechem Kris.

Oburzona tą niedelikatną szczerością Laura mocno uderzyła Krisa w ramię.

– No co! – wykrzyknął jej chłopak. – Stwierdzam tylko nagie fakty – bronił się z jękiem w głosie.

– Te akurat wyglądają nieco lepiej. – David robił dobrą minę do złej gry i próbował żartować.

Kris podłapał watek i chwycił Davida za ramię.

– Wiesz, to jest myśl! – zawołał rozentuzjasmowany.

David był nieco zaskoczony taką poufałością. Patrzył nieufnie na dłoń Krisa na swoim ramieniu. Ten jednak się nie zniechęcił:

– Skoro masz ten jeden jedyny, ale za to duuuży atut... – Mrugnął porozumiewawczo. – Musisz go pokazać. Zaczynj łązić na golasa albo z karteczką na plecach: „Posiadam jeden duuuży atut, poznam dziewczynę, koniecznie dziewicę” – wypalił z propozycją. – I aby nie dostać po ryju, koniecznie z dopiskiem: „Cel matrymonialny” – zakończył swój genialny plan.

Laura kopnęła Krisa pod stołem. Ten zawył z bólu.

– Auaaa! A matka mówiła, że jeszcze się przez ciebie nacierpię – skomentował żartobliwie.

David uśmiechnął się delikatnie i z wyrozumiałością na dowcip Krisa. Śledził wzrokiem odchodzące turystki.

Laura podziwiała Davida. Przede wszystkim za determinację, z jaką poszukiwał upragnionej miłości. Nie przeszkadzało jej, że jej wieloletni przyjaciel nie należy do przystojniaków. Nawet lubiła jego duże uszy, wąskie usta i długi nos.

Laura była w Davidzie zakochana. Zwraçała uwagę jedynie na jego piękne głębokie spojrzenie. Według niej tworzyło ono harmonijną całość z osobowością Davida i podkreślało jego szlachetność.

Rok temu związała się z Krisem – całkowitym przeciwieństwem Davida. Nie była szczęśliwa w tym związku. Cały czas żyła nadzieją, że pewnego dnia jej ukochany sam zauważy jej skrywaną miłość i zrobi pierwszy krok. W jednej chwili zerwałyby z Krisem.

– Davy... – zaczęła pocieszać prawdziwego ukochanego. – Znajdziesz miłość w...

David zaczął kiwać lekceważąco głową.

– ... tak, tak, w najmniej oczekiwanym momencie. Ile razy już to mówiłaś? – dokończył za nią David, który wciąż nie potrafił odgadnąć znaczenia jej słów.

– Obiecuję – odpowiedziała mu cicho Laura i westchnęła wymownie. David jednak, jak zawsze, pozostawał ślepy.

– Ale wiesz, jest jedna. Bogata, seksowna, inteligentna – wtrącił się nagle nieświadomy prawdziwej wymowy sytuacji Kris.

– To modliszka. Chcecie? – uciął David, wskazując widelcem kawałek pizzy.

– Modliszka? – zaciekawiała się Laura.

Oboje z Krisem wbili w Davida wyczekujące spojrzenia. David podniósł wzrok znad pizzy.

– No co? – zapytał zniecierpliwiony.  
Próbował jeść dalej, ale po chwili odłożył sztucce z brzdękiem.

– O rany! – wykrzyknął. – Dzień przed naszym wylotem spytała, kiedy się oświadczę!  
Laura i Kris wymienili spojrzenia.

– I? – spytał głodny dalszego ciągu Kris.

– Gdybym jej powiedział, że... nigdy... toby mnie zjadła. A wcześniej obdarła ze skóry.

– Jak się wywinąłeś? – zapytała uspokojona Laura.

– Nijak. Jakies tam bzdety... Że ja taki... nijaki. A ona... No wiecie? Najbardziej pożądana partia Ameryki.

– Powiedz, tak szczerze – zaczął się dopytywać Kris. – Czego właściwie Rebeka od ciebie chce? Pieniądze twojego ojca nie są jej potrzebne. Pasujecie do siebie jak... ja do Laury – podsumował niezgrabnie.

– Ej, to co tutaj jeszcze robisz? – Laura zareagowała natychmiastowo.

– Siedzę i przytulam moje ukochane przeciwieństwo. – Kris przytulił się do Laury, dumny, że udało mu się wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

David sięgnął po kieliszek i opróżnił go łączywie.

– To sprawka jej ojca. Coś ma do mego staruszka.

– Co? – Kris ciągnął Davida za język.

– Nie mam pojęcia. Te wspólne studia, moje i Rebeki, a teraz oświadczyzny... – zastanawiał się David. – Mam przeczucie, że to gra. Zaplanowana wiele lat temu, ale niemożliwe, że przez Rebeke. Ona mną pogardza.

– To po co się z nią spotykasz? – Laura próbowała pozostać obojętna.

– Ma przecież potrzeby. Musi je jakoś zaspokajać. – Kris powrócił do żartów, przerywając poważną rozmowę. – Gdy byliśmy nieco młodszy... – Spojrzał przez moment na swoje krocze i prawą ręką zaczął naśladować masturbację. – No, ale w tym wieku...

– Przestań! – Laura straciła cierpliwość. – Jeszcze słowo, a będziesz musiał swoje potrzeby zaspokajać po staremu!

– Dobra, już dobra. – Kris był przestraszony albo przynajmniej takiego udawał. Próbując uspokoić Laurę, zwrócił się do Davida poważnie: – Uważaj, żeby cię nie złapała na dziecko.

– Spoko – odpowiedział krótko David i błyskawicznie uciał temat. – Nie mówmy już o niej, bo się zdołuję do kwadratu. – Wstał. – Przejdę się.

– Idź... Wyrwij coś. – Kris nie wytrzymał zbyt długo bez ulubionych żartów. – Na pewno ci się uda, tylko musisz powiedzieć, kim jesteś. Albo pokazać swój... No wiesz... – Zaczął rechotać, gdy wrócił do swojego pomysłu.

David zdawał się go nie słyszeć.

– No właśnie... Kim ja jestem? – rzucił melancholijnie.

– Davy... – Laura wstała i objęła prawdziwego ukochanego. – Jesteś wspaniałym człowiekiem. Naszym, moim najlepszym przyjacielem...

W tym momencie zaczęła dzwonić komórka Davida. Odebrał ją, wciąż niewrażliwy na Laurę.

– Roy, co tam?... Cały pakiet?... W jakim przedziale?... Okej. Bywaj! – Jego rozmowa była krótka i rzeczowa. Telefon szybko wyłączył w kieszeni Davida.

Kris był wyraźnie zaintrygowany.

– Chodzi o ten cynk od maklera?

David kiwnął głową twierdząco. Uśmiechnął się szeroko. Jego kiepski nastrój przysnął.

– Osiemdziesiąt sześć baniek. W niecałe dwa tygodnie! – musiał się pochwalić.

– Chłopie, gratuluję! – Kris się ucieszył.

– Czy to legalne? – wtrąciła się zdeglustowana Laura.

– Oczywiście! – odpowiedział David bez cienia wątpliwości. – Choć może trochę nieetyczne.

– Co na to twój ojciec? Co chcesz udowodnić? – Laura drażyła temat.

– Przed trzydziestką zarobię na Wall Street więcej niż senior przez trzydzieści lat! – stwierdził z dumą David.

– Takimi metodami?! – Laura podniosła głos. – Naprawdę o to ci chodzi?! – była oburzona, bo to kłóciło się z jej idealistycznym obrazem kochanego mężczyzny.

David tym razem odpowiedział na jej zarzuty wymownym milczeniem i dodał na odchodne:

– Spotkamy się na śniadaniu.

– Pa, do jutra – odpowiedziała Laura, a Kris pożegnał się podniesieniem ręki.

David był synem jednego z najświetniejszych inwestorów giełdowych – Davida Morusa Seniora, najzdolniejszego i najskuteczniejszego ucznia Warrena Buffetta.

Na co dzień spotykał mnóstwo pięknych dziewczyn, które marzyły o związku z jedynym dziedzicem ogromnej fortuny. Nie przeszkadzała im oczywiście jego niezbyt atrakcyjna aparycja. Gdy David występował oficjalnie, jako syn miliardera z Bostonu, nie miał więc żadnych szans na spotkanie zwyczajnej, niezmanierowanej dziewczyny. Takiej, która mogłaby go obdarzyć czystym uczuciem, dostrzec w nim normalnego chłopaka i po prostu się zakochać.

A to przecież było jego największe marzenie – zakochać się z wzajemnością.

Dlatego właśnie organizował wypadki incognito. Podróżował z przyjaciółmi do zwyczajnych miejsc, tanich hoteli, najlepiej poza Stanami. Tylko że wówczas... żadna dziewczyna nie wyrażała zainteresowania jego osobą.

David przechadzał się teraz pięknymi uliczkami starego miasta. Na każdym kroku spotykał zakochane pary przytulające się i fotografujące na tle wiekowych murów. Widok szczęścia, jakiego on również pragnął, w pewnym momencie okazał się zbyt bolesny. David przeniósł wzrok na mijane witryny i ściany kamienic. Na jednej z nich dostrzegł plakat, który przykuł jego uwagę. David wyjął z kieszeni komórkę i zaczął wybierać numer.

– Wracajcie sami... Lauro, nie, nikogo nie poznałem. Za dwa dni jest koncert Cavallego... Nie tu, w Montaione... Dobra, dobra, spokojnie... Przylecę za trzy dni... Tak, na pewno... Pa.

Zadowolony z nowych planów David zaczął chować komórkę do kieszeni, gdy ta przenikliwym dźwiękiem zaprotestowała. Na ekranie wyświetliło się imię Roy.

– Co tym razem? – zapytał od razu David.

– Pirkins chce kupić twój pakiet ERCON Industries. Daje dwadzieścia za akcję! – W telefonie słychać było głos podekscytowanego Roya.

David nie od razu odpowiedział na tę wiadomość. Po chwili namysłu podjął decyzję:

– Okej. Powiedz mu, że oddam po dwadzieścia jeden.

– Jesteś pewien? – zaczął się dopytywać Roy. – Przecież to prezent od ojca na twoje ósme urodziny! Wiesz przecież, co Pirkins robi z przejmowanymi firmami. Setki ludzi straci pracę.

– Nikt nie da więcej – David pozostał niewzruszony.

– Okej – zgodził się Roy. – Pogadam z Pirkinsem. Trzymaj się.

Sprawa była już zamknięta. David schował piskliwego towarzysza do kieszeni i mógł pobyc trochę sam.

Następnego dnia rano postanowił odwiedzić Montaione. Chciał zobaczyć miasto w spokoju, dzień przed występem Cavallego.

Po zwiedzeniu niewielkiej starówki przeszedł przez główną ulicę okalającą miasteczko i stanął na skraju wzgórza, z którego rozciągał się bajeczny widok na pagórkowatą szachownicę poletek winnic, pszenicy i innych upraw. Usiadł na ławce w cieniu platanu, obok trzech starszych Włochów, którzy rozmawiali nieśpiesznie o codziennych sprawach. Przez chwilę wyobraził sobie siebie w wieku siedemdziesięciu lat. Co chciałby wówczas robić? Pierwszy raz w życiu poczuł urok nicnierobienia. Czy mógłby tak sobie siedzieć, w tym właśnie miejscu za pięćdziesiąt lat i być takim staruszkiem jak jego sąsiedzi? Odpowiedział sobie, że tak. Rozmawiałby na przykład o tym, o czym oni teraz: że wczoraj syn ich wspólnego przyjaciela przegrał na automacie w pobliskiej kawiarni połowę emerytury ojca, chociaż obiecywał, że już

nigdy się to nie powtórzy. Banalne problemy. Banalne życie. Ale o tej porze, w takim miejscu, z tak wspaniałym widokiem wcale to wszystko nie wydawało się banalne – nawet dla dwudziestopięcioletniego absolwenta ekonomii na Harvardzie, który w przyszłości miał zostać jednym z najbardziej twórczych i wpływowych ludzi na świecie.

Gdy David, zatopiony w myślach, z lubością poddawał się sennej atmosferze tokańskiego miasteczka, tuż obok ławki – między nim a stromym skrajem wzgórza – przemknęła zgrabna i zwiewna postać. David poczuł delikatny zapach jej perfum. Tą postacią była dziewczyna. David później miał się dowiedzieć, że jest o dwa lata od niego młodsza. Stała dziesięć metrów dalej, na samym skraju wzgórza zwieńczonego niewysokim murkiem. Chwilę później usiadła na tym murku. Miała spięte w kok ciemne włosy.

David nie zdołał dostrzec jej twarzy. Mimo tego wszystko w tej zwiewnej postaci, w tej dziewczynie wydawało mu się perfekcyjne. Poczawszy od figury skopiowanej bezwstydnie z któregoś ze starogreckich posągów, przez chód, którego mogłyby jej pozazdrościć afrykańskie gazy zamknięte w miejskim zoo, aż po skromne, ale wyjątkowo gustowne ubranie. To, że nie miała kolczyków, też wydawało się idealnie dobrane do całości. Syn miliardera z Bostonu był niezwykle ciekawy, jak wygląda twarz tej dziewczyny. Zastanawiał się, czy to miejscowa czy może samotna turystka.

„Zagadnąć ją czy może sobie odpuścić?” – bił się z myślami. Przecież już tyle razy próbował i zawsze spotykało go to samo: mniej lub bardziej grzeczna odmowa. Miał już zrezygnować, gdy...

...przypomniała o sobie świdrująca przyjaciółka. Jej dźwięk obudził Davida z zauroczenia. Łączyła go ponownie z Royem.

– Pirkins się zgodził, pod warunkiem że sprzedasz cały pakiet – poinformował rozmówca.

– Wow! Ile to będzie? – W głosie Davida pobrzmiwało zaskoczenie połączone z radością.

– Sekundę... – Roy zamilkł na chwilę. – Miliard dwieście trzydzieści sześć milionów osiemset trzydzieści tysięcy.

– Prawie miliard na czysto! Sprzedaj i... – David przez cały czas patrzył na dziewczynę. W jednej chwili nabrał pewności siebie. – ...i trzymaj za mnie kciuki! – dopowiedział.

– Jak to? – pytał zdezorientowany Roy.

– Później wyjaśnię. Trzymasz?

– Okej. Trzymam. Hej.

David podniósł się z ławki. Zaczął iść w kierunku zwiewnej postaci. Zatrzymał się metr przed nią. Wciąż nie wiedział, jak wygląda. Na jego twarzy widać było coraz większe zdenerwowanie. Spojrzał na dolinę, wziął głęboki wdech i zagadnął, jednak zbyt cicho:



– Wspaniały. – Odchrząknął i dokończył dużo głośniej: – Widok.

Dziewczyna się odwróciła i David wreszcie mógł zobaczyć, jak wygląda. Piękne duże oczy i czarujący uśmiech jeszcze bardziej go onieśmieliły.

– Przychodzę tutaj codziennie i za każdym razem mnie zachwyca – w tym momencie David mógł jeszcze usłyszeć jej anielski głos.

Twarz Davida zdradzała zaskoczenie i zachwyt. Dziewczyna już wiele razy widziała podobne twarze, chociaż rzadko aż tak brzydkie. Onieśmielony David szukał słów.

– Pani mieszka tutaj, w Montaione?

Dziewczyna uśmiechnęła się na jego minę. Skinęła głową.

– Od ośmiu dni. W gospodarstwie La Valle, dwa kilometry stąd.

Nastała niezręczna cisza. Dziewczyna dostrzegła onieśmielenie Davida.

– Amerykanin? – zapytała uprzejmie.

David ponownie zebrał się na odwagę:

– Pozwoli pani, że się przedstawię. David z Bostonu... To znaczy David – już wiedział, że wypadło niezręcznie.

– Pola z Polski, to znaczy Pola – odpowiedziała piękność, inteligentnie przedrzeźniając nieporadnego podrywacza z „Hameryki”.

– Jest pani dowodem na prawdziwość tych, no... legend o pięknie Polek – David próbował się zrehabilitować.

Pola musnęła prawy policzek opuszkami dwóch palców i delikatnie się uśmiechnęła. Nic nie odpowiedziała na ten dość toporny komplement. David wiedział, że już po wszystkim. Pola chciała wrócić do oglądania widoków, ale nieudolny podrywacz jeszcze się nie poddawał. Wziął głęboki wdech i wypalił szybko:

– Jakie ma pani plany na teraz?

Pola milczała.

– Czy mogę coś zaproponować?

Pola patrzyła na Davida zdziwiona i zaciekawiona bezpośredniością propozycji, tym bardziej, że padła z ust takiego brzydala, który przed chwilą wydawał się porażony jej urodą.

– Zostawiłbym panią tutaj samą. Usiądę tam, o – David wskazał ręką na ławkę z trzema staruszkami, na której siedział przed chwilą. Nie zrażał się. Przecież gorzej już być nie mogło.

– I jak już się pani nasyci tym pięknym widokiem, to... czy mógłbym panią odprowadzić? – wypalił z ulgą.

– Dziękuję za tę śmiałą propozycję, ale jestem w nastroju do samotności.

W głosie Poli brzmiał lekki wyrzut sumienia. Odmowa to jednak odmowa. Ale polska piękność wróciła do oglądania widoków.

David poczuł ukłucie. Zdawał sobie jednak sprawę, że spotkał anioła, dlatego się nie poddawał. Zrobił krok do tyłu, potem krok do przodu i...

– Lubi pani Cavallego? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

Pola uśmiechnęła się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Tak. I wiem o jutrzejszym koncercie.

– Więc się spotkamy ponownie – stwierdził odkrywco David.

– Będziemy razem na koncercie, jak niemal wszyscy turyści z tego miasteczka – ostudziła jego zapęły Pola.

Dziewczyna nie chciała pozostawić żadnych wątpliwości co do tego, na jakiej zasadzie dojdzie do ich ponownego spotkania. David jednak wciąż stał przed nią.

– To... – odchrząknął. – Do zobaczenia.

– Do widzenia – odpowiedziała Pola i chcąc pocieszyć szczerego brzydala, dodała ciepłym głosem: – Davidzie z Bostonu.

David usiadł na tej samej ławce co przedtem. Patrzył przed siebie, ale jakby inaczej niż przed zaskakującym spotkaniem. Intensywnie myślał. O czym? O kim? Snuł plany na jutrzejszy dzień. Dzień, który – nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości – mógł się okazać najważniejszym w jego dotychczasowym życiu.

#### KILKA GODZIN PÓŹNIEJ...

...na placu przed kościołem w Montaione robotnicy rozstawiali scenę. David kręcił się obok. Patrzył na otaczające plac kamienice. Liczył okna, mamrocząc coś do siebie pod nosem. Z kościoła wyszedł ksiądz, krępy i łysy, około sześćdziesięciu lat. Był bardzo swobodny. Jadł jabłko, a robotnicy pozdrawiali go serdecznie, wołając na niego: „padre Giovanni”. Odpowiadał im z taką samą serdecznością. Zachęcony taką otwartością, podszedł do niego również David.

– Buongiorno! Czy mówi ksiądz po angielsku? – zapytał łamanym włoskim.

Ksiądz Giovanni zmierzył go wzrokiem. Szybko połknął ugryziony przed chwilą kęs jabłka i odpowiedział po angielsku:

– Szczęść Boże. Tak.

David od razu przeszedł do rzeczy.

– Kto tam mieszka, tam na pierwszym piętrze? – zapytał, wskazując palcem na okno jednej z kamienic.

– To moja parafia – ksiądz był wyraźnie zaskoczony.

– Miałbym do księdza pewną prośbę... – niemal wszedł mu w słowo David, który miał już jakiś plan.

Pół godziny później ksiądz Giovanni wyszedł z kamienicy, o której wcześniej mówił David. Ten czekał pod drzwiami.

– Cena będzie bardzo wysoka – odezwał się ksiądz.

– Cena nie gra roli. Tu chodzi o miłość, miłość od pierwszego wejrzenia – wyjaśnił z uśmiechem David.

Ksiądz Giovanni spojrział w niebo.

– „Jeśli miłości bym nie miał, byłbym niczym” – zacytował w zamyśleniu. – Kiedyś, dawno temu, też to przeżyłem.

David splótł dłonie i skorzystał z nastroju:

– Miałbym jeszcze jedną prośbę...